NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 11 — Katowice, 12-go marca — 1933

Niedziela druga Postu.

LEKCJA

z listu św. Pawła do Tess, rozdział IV, wiersz 1—7.

Bracia! Prosimy was i zaklinamy w Panu Jezusie, aby, jakoście wzięli od nas, jak się macie sprawować, i Bogu się podobać, tak żebyście się sprawowali, żebyście więcej obfitowali. Bo wiecie które rozkazanie dałem wam przez Pana Jezusa. Albowiem ta jest wola boska, poświęcenie wasze; żebyście się powściągali od porubstwa, aby umiał każdy z was naczynie swe trzymać w świątobliwości, i uczciwości, nie w namiętności żądzy, jako i poganie, którzy nie znają Boga; ażeby kto nie podchodził, a nie oszukiwał w sprawie brata swego: albowiem mścicielem jest Pan wszystkiego tego, jakośmy wam przedtem powiadali, i oświadczali. Bo Bóg nie wezwał nas ku nieczystości ale ku poświęceniu w Chrystusie Jezusie Panu naszym.

EWANGELJA

u św. Mateusza, rozdz. XVII, wiersz 1—9.

W on czas: Zabiera Jezus Piotra, Jakóba i jego brata Jana, i prowadzi ich osobno, na górę wysoką. I przemienił się wobec nich: oblicze Jego zajaśniało niby słońce, a szaty Jego stały się białe jak śnieg. A oto ukazał się im Mojżesz i Eljasz, i rozmawiali z Nim. Piotr tedy przemówił w te słowa do Jezusa: Panie, dobrze nam tu być! Jeśli chcesz, rozbijemy tu trzy namioty: dla Ciebie jeden, dla Mojżesza jeden i dla Eljasza jeden. A gdy jeszcze mówił oto obłok świetlany osłonił ich, a oto z obłoku odezwał się głos: Ten jest Syn Mój miły, w którym mam upodobanie; Jego słuchajcie! A usłyszawszy to uczniowie, upadli na twarz swoją i zlękli się bardzo. Jezus tedy zbliżył się, dotknął ich i przemówił do nich: Wstańcie, a nie bójcie się! Podnieśli więc swe oczy, ale nie zobaczyli nikogo, prócz samego Jezusa.

A gdy zstępowali z góry, przykazał im Jezus, mówiąc: Nikomu nie mówcie o widzeniu, aż Syn człowieczy zmartwychwstanie.

NAUKA.

Oblicze jego jaśniało jako słońce...

Zaciszny i ciepły pokoik. Na dworze słychać szum wiatru i krople deszczu bijące o szybę. W pokoju dwoje tylko ludzi. Dziadzio i wnuczka. — „A teraz, mówi dziadzio, sięgając po wielką, ozdobną księgę, „teraz Aniu pokażę ci coś bardzo pięknego. Przybliż się do światła i przypatrz się dobrze. Patrz to najcudowniejszy obraz na ziemi.“

Z temi słowy rozłożył na kolanach ogromną biblję i wskazał całostronny obraz z bolesną twarzą Ukrzyżowanego w koronie cierniowej.

„Widzisz, mamy w domu dużo książek i bardzo dużo obrazów. Dziadzio twój już wiele lat przeżył i dużo bardzo świata zwiedził. A jednak ze wszystkich skarbów świata dziadzio nie umiałby ci, kochana Aniu, pokazać czegoś piękniejszego nad tę skrwawioną twarz Zbawiciela naszego. Przyjrzyj się okrutnym cierniom. Spróbuj w myśli policzyć wszystkie rany. Ile to krwi na czole i skroniach. Tu pod włosami ta ciemna plama — to także krew. Spojrzyj Aniu na te smutne oczy, taką niewymowną miłością ku nam spoglądające. Patrz te usta jakby drgały z wzruszenia i bolesnego cierpienia a jednak — widzisz to przecież wyraźnie na obrazie — usta te milczą. To obraz najcudowniejszy. Piękniejszego, więcej mówiącego niemasz na ziemi...

Cisza wielka zalegla w pokoju. Dziecko po raz pierwszy stanęło przed wielką tajemnicą cierpienia. Dopiero po długiej chwili zdobyło się na pytanie:

— Dziadzio! Czy tak w cierniowej koronie Pan Jezus chodził po ziemi?

— Zupełnie tak samo. Tak jak to, moje dziecko, widzisz na obrazku.

— I krew płynęła także?

— Tak dziecko, i krew płynęła, i kolce raniły, i dokuczały okropnie.

— A czemu Pan Jezus nosił koronę?

— Bo chciał, by ludziom było lepiej. I gdyby dziś chodził Pan Jezus na ziemi, także dźwigałby to ciernie na skroni. Powiem ci nawet coś więcej: Pan Jezus chce, byśmy także tak jak on nosili cierniową koronę.

— Ależ to straszne, dziadzio! To byłoby straszne, bardzo straszne, gdyby człowiek w koronie cierniowej ukazał się na ulicy, tu w pokoju lub w polu przy pracy!?

— Masz zupełną słuszność! Korona taka to rzecz straszna. Tego zupełnie może dziś jeszcze nie rozumiesz. Koroną cierniową są nasze cierpienia, smutki, cicho i dobrowolnie znoszone. Ale widzisz, dlatego, że to właśnie tak straszna rzecz, ludzie tak niechętnie do tej korony się garną. Ludzie uciekają przed cierniem. Lękają się ran. Boją się krwi. Ale gdybyśmy choć cokolwiek chcieli usłuchać Zbawiciela i częściej nosić za jego przykładem koronę, bylibyśmy wszyscy wiele więcej podobniejsi do Chrystusa, a więc wszyscy bylibyśmy i lepsi i doskonalsi i lepiej, wiele lepiej byłoby na ziemi.

Opowiadanie to o najcudniejszem obliczu przypomniało mi się, gdy czytałem dzisiejszą ewangelję.

O obliczu P. Jezusa niejednokrotnie wspomina ewangelja. Czytamy, że na obliczu tem pojawiły się łzy, gdy P. Jezus patrzał na Jerozolimę, że na obliczu tem zagościł smutek, gdyż żegnał pytającego się młodzieńca, że biły z tego oblicza błyskawice gniewu, gdy wypędzał przekupniów, że uwidoczniała się litość, gdy spotkał wdowę z Naim...

Czy was jednak nie uderza, że wyraźnie ani razu, ani jednem słowem ewangelja nie wspomina

na żadnem miejscu o tem, by na boskiem tem obliczu zjawił się kiedyś uśmiech?

Czy nie jest w tem wskazówka, że istotą naszego życia, jego treścią i jego zasługą jest właśnie nie śmiech, nie rozkosz, lecz obowiązek trud praca, ofiara, poświęcenie? Na 6 dni pracy jedna przypada niedziela! Na cały wielki tydzień jedna tylko Wielkanoc!

Chwile uniesienia, chwile Taboru, chwile przemienienia, kiedy to oblicze jaśnieje jako słońce, są **tu na ziemi tylko chwilami.** Po nich niebawem tu na ziemi zjawiają się zazwyczaj czarne bolesne godziny Kalwarji!

Oto właściwa filozofja naszego życia. Gdy tak na życie patrzeć będziesz, nie będziesz budował jak Piotr namiotów tam, gdzie nie należy ich budować. Unikniesz bolesnych rozczarowań. Nie upadniesz złamany omyłką życiową. W pracy, w trudzie codziennym, w trosce o rodzinę, w sumiennem spełnianiu obowiązków ujrzysz swe przeznaczenie i koronę swoją cierniową, za którą wynagrodzenie cię spotka. Amen.

O niesieniu krzyża.

Każdy ma swój krzyż —

Swój — to znaczy, że każdy ma inny —

Ile ludzi więc — tyle krzyżów — a każdy dokładnie dostosowany.

Twój tylko do **twoich** ramion ściśle przylega i tylko ty jeden nieść go możesz z pożytkiem.

Nie patrz więc po cudzych i nie porównuj nadaremnie. — Cudze krzyże zazwyczaj wydają się lżejsze.

Cóż — kiedy **ciebie** tylko **twój** zbawić może...

Tylko też jeden wagę swego krzyża czujesz. Nikt inny ciężaru, który dźwigasz, sprawiedliwie ocenić nie zdoła, czemu nie dziw się i nie miej o to żalu. —

Sam też strzeż się uśmiechać z niedowierzaniem, gdy inni skarżą się na swoje brzemię — w oczach twoich bez porównania lżejsze.

Wierzaj, każdy dźwiga właśnie tyle, ile do zbawienia jego duszy potrzeba. Krzyże dobiera ręka Ojca niebieskiego. Kto lepiej wie, ile Jego dziecko unieść może?

Więc nie szemrać nam ani zazdrościć innym — tylko współczuć sobie wzajemnie i uszanować każdy cudzy krzyż. —

A swój własny ująć oburącz i nieść z jasną twarzą wysoko...

Nie wlecz go z niechęcią, aby nie zwracał uwagi, nie urażał obok idących i nie rzucał cienia na czoła twych najbliższych. Niech tylko Bóg wie, ile cię to kosztuje....

Na każdy dzień tylko **cząstka** drogi naznaczona. Co za pociecha!

Jeżeli każdego dnia odnowa umocni cię Chleb Anielski, nie miałbyś donieść krzyża swego godnie aż do stóp Tego, który dla ciebie przed wiekami odbył bez skargi Swoją drogę krzyżową?...

Jak smutno w domu, w którym **rodzic** krzyż swój niesie z szemraniem lub choćby tylko z buntem w sercu! Sobie umniejsza zasługi, dzieci źle do życia przysposabia... Kto ma je nauczyć dźwigać krzyż, jeżeli nie ty **ojcze,** jeżeli nie ty, **matko?** jeżeli nie ty — **swoim przykładem?...**

Św. Klemens Hofbauer, apostół Warszawy.

(15 marca.)

Z pomiędzy Orędowników Polski w niebie św. Klemens należy do najmniej czczonych. Mało kto wie, że taki Święty istniał kiedykolwiek i że dopiero sto lat minęło, jak apostołował w Warszawie. Mało Polaków nosi jego imię, a w całej Polsce, jak długa i szeroka, niema kościoła pod jego wezwaniem wzniesionego.

Jaka jest przyczyna tej niewdzięczności?

Pierwsza ta, że **u nas w Polsce wogóle mało się czci Świętych Pańskich.** Poza kilkoma wyjątkami takimi, jak św. Franciszek, św. Antoni, św. Teresa, nie pamiętamy należycie o naszych Opiekunach. **Nawet św. Józefowi oznak hołdu skąpimy...**

Druga przyczyna zapomnienia o św. Klemensie jest ta, że w jego życiu brak cudowności. A ludziom się zdaje, że świętość mierzy się cudami. Tymczasem nieprawda. **Można być wielkim świętym bez żadnych nadzwyczajności.** Takim właśnie był Klemens. Cudów za życia nie robił, ale żył wyłącznie dla Boga i dla bliźnich i dlatego został świętym. Rzućmy okiem na jego życie, gdyż jest ono bardzo pouczające.

Św. Klemens Hofbauer urodził się na Morawach w r. 1751. Już od dziecka marzył o powołaniu kapłańskiem, ale nadziei na spełnienie tych marzeń nie było żadnej. W siódmym roku życia Klemens traci ojca i już od młodych lat musi zarabiać nietylko na swoje utrzymanie, ale i rodzeństwa. Mając lat piętnaście, idzie do nauki u piekarza, ale i tutaj zamiarów swoich się nie wyrzeka. Korzysta z każdej wolnej chwili, aby się czegoś nauczyć i móc potem wstąpić do seminarium. Naokoło niego świat coraz bardziej oddalał się od Boga. Dojrzewała rewolucja we Francji, wzmagało się prześladowanie religji prawie wszędzie. Lecz to wszystko nie miało żadnego wpływu na Klemensa. On, skromny, ubogi piekarczyk miał tylko jedną myśl — żeby Boga najgodniej uwielbić oraz siebie i drugich uświecić.

W dwa lata po wstąpieniu do nauki Klemens wyrusza pieszo do Rzymu. Odtąd niemal każdego roku, jak tylko lato się zbliżało, chwytał za kij pielgrzymi i sam, albo z towarzyszem, wędrował do grobu świętych Apostołów Piotra i Pawła, by wymodlić sobie u nich żywą wiarę i miłość gorliwą. Przez pewien czas czuł w duszy tak silny pociąg do Boga, że poświęcił się życiu pustelniczemu w Tivoli, we Włoszech, ale po pół roku wraca w strony rodzinne, gdy słyszy głos wewnętrzny, że Bóg go przeznaczył do pracy apostolskiej. W kraju Klemens znowu zostaje czeladnikiem piekarskim i przysposabia się do stanu kapłańskiego.

Wreszcie spełniły się jego marzenia. Dzięki poparciu pobożnych osób dostaje się na uniwersytet wiedeński, gdzie studjuje najpierw filozofję, a potem teologję. W 33-im roku życia, podczas jednej ze swych rzymskich pielgrzymek, wstępuje do zakonu OO. Redemptorystów, a w następnym roku zostaje wyświęcony na kapłana.

Teraz w życiu Klemensa rozpoczął się okres wytężonej pracy dla dobra bliźnich. Opatrzność zrządziła, że Warszawa miała pierwsza doznać błogich skutków jego gorliwości. W roku 1787 Klemens wraz z O. Tadeuszem Hüblem obejmuje pod

swój zarząd kościół św. Benona w Warszawie. Odtąd opuszczony i zaniedbany kościółek staje się ogniskiem życia katolickiego na Warszawę i okolicę. Przez dwadzieścia lat odprawiały się w nim codziennie od rana do wieczora nabożeństwa, każdego dnia głoszono przynajmniej cztery kazania, kilku ojców stale było zajętych słuchaniem spowiedzi. Oprócz nieustannej pracy w kościele, św. Klemens przygarnia do założonej przez siebie ochrony biedne sieroty, otwiera dla nich szkoły, apostołuje wśród chorych, urządza misje po parafjach. W tym samym czasie w Europie wrzało. Nieustanne wojny i przewroty polityczne podmieciały wszystkich. Jeden tylko Klemens nie przejmował się temi wypadkami. On je odczuwał, cierpiał z powodu nich, ale nie potrafiły one zamącić spokoju jego duszy. Wiedział, że ludzie miną, a Bóg zostanie, że to, co ludzkie, spłynie jak woda, a to, co Boże, trwać będzie wiecznie. Może sobie Napoleon podbić pół Europy, a nawet całą zdobyć — to Klemensa nic nie obchodziło. On jednem był zajęty - żeby wszystkie dusze zdobyć dla Jezusa. Kiedy inni upadają na duchu, co będzie z Kościołem, czy da sobie radę, on stara się rozszerzyć pole swej apostolskiej pracy. Kilkakrotnie wyjeżdża z Warszawy do Szwajcarji i zakłada tam nowe klasztory. Ale i tego było mało jego wielkiemu sercu. Pisze do O. Generała i prosi go na wszystko, żeby mu pozwolił udać się do Ameryki...

A kiedy w roku 1808 masoni podstępem usunęli OO. Redemptorystów z Warszawy, św. Klemens nie traci otuchy. Osiada w Wiedniu i tu niezmordowanie apostołuje we wszystkich warstwach, aż wreszcie śmierć dnia 15 marca 1820 r. przerwała długie pasmo jego bohaterskich wysiłków na chwałę Bożą. Papież Leon XIII ogłosił go w roku 1888 błogosławionym, a Papież Pius X. w roku 1909 — świętym.

* * *

Po stu latach dzieło św. Klemensa w Warszawie zmartwychwstało. Gdy w r. 1906 w dawnem Królestwie ogłoszono względną wolność, przybyli z Krakowa OO. Redemptoryści i zamieszkali przy kościele Zbawiciela. Przez pięć lat kościół ten był placówką, skąd misjonarze wyruszali na podbój dusz we wszystkich stronach Królestwa, spragnionego słowa Bożego. Dotarli nawet do Białegostoku, Grodna, Wilna i Petersburga, udali się na Krym i Kaukaz, przeorali Syberję od Czelabińska do Władywostoku, dając tam misje w dziewięciu parafjach. A kiedy rząd rosyjski w roku 1911 wydalił synów św. Klemensa z Warszawy, wrócili znowu w roku 1918 i osiedlili się na Woli wśród ludności ubogiej, przeważnie robotniczej, którą tak ukochał św. Klemens. Dzięki groszowym ofiarom stanęła ku jego czci przed trzema laty mała kapliczka. Ciasno w niej i ubogo, ale można w niej wyczuć, że św. Klemens wyprasza swym czcicielom zapał i gorliwość. Codzień rano przeszło trzysta osób przystępuje do Stołu Pańskiego, a wieczorem po nabożeństwie, przez większą część roku, bo od kwietnia do końca listopada przed grotą Matki Boskiej Lurdzkiej zbierają się tłumy nietylko kobiet, ale i mężczyzn, i do późna w noc śpiewają pobożne pieśni.

Ponieważ tymczasowa kaplica jest zbyt szczupła, coraz wyraźniej rozlegają się głosy, że już czas wznieść na miejscu obszerny kościół. Byłby to pierwszy kościół na ziemiach polskich, św. Klemensowi poświęcony. Brakowi pieniędzy potrafi zaradzić ofiarność mieszkańców Warszawy, którzy mają tyle do zawdzięczenia św. Klemensowi.

W paszczy jaguara.

Zmęczona całodzienną pracą, rzuciła się matka na posłanie i smacznie zasnęła. Przed domem bawiła się pięcioletnia córeczka, oczekująca powrotu ojca, którego była jedyną pociechą i osłodą życia. Piracaia należy do maleńkich osad brazylijskich, położonych częstokroć na skraju olbrzymich lasów, coraz rzadszych już, bo bezustannie trzebionych siekierą kolonistów. Takim kolonistą był właśnie Baptysta Rodriges, ojciec dziewczynki.

Pogrążona w głębokim śnie, zrywa się matka z posłania, gdyż słyszy nagle przeraźliwy krzyk.. krzyk... dziecka swego. Błyskawicznie wypada przed dom i — na ten widok serce jej zamiera: widzi dziewczynkę pod stopami jaguara czyli tygrysa amerykańskiego. Rozpoczyna się walka kilkusekundowa, rozpaczliwa, bo musi się skończyć przegraną. Potężnem uderzeniem łapy powaliła bestja niewiastę na ziemię... Krwawiąc z licznych ran, leży ofiara miłości macierzyńskiej bezprzytomna, a jaguar unosi w paszczy zemdlałą dziewczynkę i znika w gąszczy leśnej.

Gdy Rodriges wrócił do chaty, omało że nie oszalał z bólu. Tymczasem już kilku odważnych sąsiadów zebrało się z bronią w ręku, aby ścigać drapieżnika i odnaleźć, o ile to możliwe, szczątki ciała nieszczęśliwej dzieciny. Lecz noc zapadła ciemna a zbliżająca się burza nie bardzo zachecała do natychmiastowego pościgu. Z bólem serca trzeba było odłożyć to do dnia następnego.

Litościwi sąsiedzi próbowali pocieszyć rozpaczających rodziców ciepłem słowem i budzeniem nadziei że może jednak... ale nie, sami w sercu nie wierzyli, co głosili ustami. Nareszcie zaświtał poranek, słoneczny, pogodny! Grono kolonistów z Rodrigesem na czele, zapuściło się w głąb lasów, przeszukując każdy krzak, siekierą usuwając każdą gęstwinę, mogącą drapieżnikowi służyć za kryjówkę. Wszystkich ożywiała chęć zemsty a może także utajona nadzieja, że... Ale gdzieżby dziecko mogło jeszcze żyć!?

Gdy jednak dzień miał się ku końcowi, a nigdzie nie odnaleźli ani śladu, zwątpienie zaczęło ogarniać najmężniejszych. Nagle przystanęli w osłupieniu jak gdyby w zachwyceniu: przed nimi otwarta droga, a na niej biegnie lekko jak sarenka, promieniejąca zdrowiem i radością... ta dziecina, którą wszyscy uważali za straconą! Otrząsnąwszy się z niedowierzania, ojciec bierze ją w ramiona, całuje, dotyka rękoma, aby się upewnić, że to nie zjawa z drugiego świata, lecz ciało i krew, żywe i zdrowe dziecko jego własne...

— Ale powiedz, jak to się stało! — pyta Rodriges.

Zwierz uchwycił dziecko za sukienki i niósł je w paszczy, najmniejszej nie wyrządzając mu szkody. Z przerażenia dziecina zemdlała, a gdy odzyskała przytomność, znalazła się w głębi lasu, w kryjówce, pomiędzy dwoma dużemi „kotami" które lizały jej rączki i tak ładnie się z małą bawiły, że ona nie miała obawy. Stara drapieżnica z boku przypatrywała się igraszkom swych małych. Potem, gdy słońce wzeszło... ukazała się dziecinie opromieniona jasnością taka śliczna pani... Matka Boska, podała jej rączkę i wyprowadziła ją z kryjówki na drogę.

Zdarzenie to podane zostało w piśmie brazylijskiem, wychodzącem w San Paolo, 16 października r. 1931.

Wdowiec.

Wczoraj ją pochowano. Sąsiedzi oddali jej ostatnią przysługę, zmówiwszy nad grobem „Wieczne odpoczywanie racz jej dać Panie!"

Wszyscy żałowali biednego Andrzeja, który był zupełnie złamany, gdy trumnę spuszczono do grobu.

Minął już dzień jeden. Biedny Andrzej pierwszy wieczór znajduje się sam w chacie. Czuć jakąś pustkę dokoła. Nie może się utulić z żalu. Siedzi na ławie. Zdaje mu się, że żona krząta się koło pieca i przygotowuje wieczerzę. Ale nie! wczoraj ją pochowano, a on jest sam! Nikt go nie pocieszy! Sam? O nie, tu stoi przed nim mała Kasia i patrzy na niego, jakby się chciała o coś zapytać. Kasia, ulubione dziecko zmarłej. Kasia, to wszystko, co mu po niej zostało. Kasia, dziecko czteroletnie, ale bardzo mądre.

— Tatusiu, dlaczego mama nie przychodzi? — pyta mała Kasia.

— Moje dziecię, mamusia tak prędko nie wróci. Pan Jezus ją zabrał do siebie! — odpowiada Andrzej i ukradkiem ociera łzy.

— Czemu płaczesz, tatusiu? Pan Jezus jest dobry! — mówi dziecię i tuli się do ojca.

A po chwili znów dodaje:

— Czego chce mamusia od Pana Jezusa? Dlaczego nie została przy swej dobrej Kasi?

— Mamusia wróci — mówi ojciec i całuje dziecię. — Albo ją zobaczysz w niebie, gdzie są aniołkowie.

— Aniołkowie z wielkiemi białemi skrzydełkami? — woła ucieszona Kasia. — Mamusia mi dużo o nich opowiadała.

— Ale, mamusi tak długo nie ma! Tatusiu, nie odejdziecie od waszej dobrej Kasi, prawda?

— Nie, zostanę przy tobie, moje dziecię! — odpowiada ojciec, a łzy co tylko mu z oczu potoczyć się mają.

— Tatusiu, jeść mi się chce! — żali się po chwili dziecię.

Andrzej spieszy do komórki, szuka chleba, ale jaki tu nieporządek! Gdy ona gospodarowała, inaczej tu wyglądało.

Daje dziecku chleba.

— Jedz Kasiu! A potem pójdziesz spać!

— Ale tatusiu, mamusia dawała mi zawsze garnuszek mleka — mówi dziecko jakby z żalem.

— Zaraz będziesz miała mleko — pociesza ją ojciec.

Idzie znów do komórki. Tam wybuchnął głośnym płaczem. Wszędzie jej brak, kochanej, jedynej żony, matki jego ulubienicy Kasi! Ona to wyłącznie dniem i nocą pielęgnowała dziecko. Któż teraz matkę zastąpi? Andrzej chce wszystko dla dziecka uczynić. Ale czy potrafi zastąpić mu matkę? Przynosi dziecku mleka. Dawniej nigdyby nie był przypuszczał, że potrafi się dzieckiem tak zająć; boć przecież dawniej je tylko czasem kołysał albo się z niem bawił.

Dziś wszystko się zmieniło. Dziecko je i pije, coś mu opowiada, ale on myśli tylko o zmarłej, bez której świat cały wydaje mu się pustkowiem. Chciałby umrzeć. Ale dziecko! Zdaje mu się, że słyszy głos zmarłej:

— Nie opuszczaj naszej Kasi!

Płacze — chciałby mówić do niej — do tej, która była dla niego wszystkiem. Ale nie może.

Kasia tuli się do niego i wzdycha:

— Tatusiu, jestem taka zmęczona! Gdyby mamusia przyszła i ułożyła mnie do snu!

— Pójdź, moja pociecho, ja cię sam rozbiorę — mówi Andrzej pieszczotliwie.

Rozbiera dziecko, ale jakoś mu to nie idzie. Potem kładzie Kasię na łóżko i całuje ją.

— Śpij, moje dziecię.

— Tatusiu, przecież muszę zmówić pacierz. Mamusia tak kazała — mówi Kasia.

— Prawda, pacierz! — myśli biedny Andrzej. — Więc módl się, moje dziecię.

I Kasia składa rączki do modlitwy i mówi: „Ojcze nasz", „Zdrowaś" a po tem:

— Dobrotliwy Ojcze nasz, spraw, bym była dobrą, strzeż mnie od złego, bym się mogła dostać do nieba! Nie, nie tak! bym się dostała do matuli! — poprawia się szybko dziecię.

Andrzej wybuchnął znów głośnym płaczem. Dziecko natychmiast rzuca mu się na szyję i płaczą oboje.

Cisza wokoło. W chacie słychać tylko jednostajne uderzenie zegara. Dziecko zasnęło. Andrzej obchodzi gospodarstwo. Wszystko wydaje mu się obcem. Czuje się osamotnionym. Gdzie ma spędzić ten wieczór? — Musi odejść. Dokąd? Do karczmy. Nikt go przecież nie zatrzymuje. Gdy ona jeszcze żyła, prośbami i łagodnością swoją, często potrafiła wpłynąć na niego. A przecież często był wobec niej bezwzględnym. Mimo próśb zostawiał ją często samą. Jakżeby chętnie wyrzekł się teraz tej przyjemności, gdyby ona żyła.

Zarzuca kapotę i bierze czapkę. Jeszcze raz zbliża się ostrożnie do łóżka. Nachyla się. Kasia śpi. Może zdaje jej się, że ją matka do snu ułożyła. Może Kasia śni o niej, o matce. Andrzej wzdycha ciężko. Nie, nie zostawi dziecka samego, tak jak dawniej zostawiał samą żonę. Jeżeli ona na tamtym świecie przebaczy mu tę krzywdę, to chyba dlatego, że całkowicie odda się dziecku i zastąpi mu matkę.

Tak też uczyni i niech mu w tem dopomoże Bóg.

Z głośnym płaczem pada Andrzej przy łóżeczku Kasi, czyniąc w duszy mocne i święte postanowienie.

Pamięć na zmarłą doda mu sił do wytrwania.

Cnota z rozumem gniazdo sobie ściele.
Miło tam patrzeć, gdzie w nadobnem ciele